

SARA ANTCZAK

KLATKA



KLATKA


KLATKA

SARA ANTCZAK

Jirafa Roja
Warszawa 2012

© Copyright by Sara Antczak, 2012

© Copyright by Jirafa Roja, 2012

Redakcja: Hanna Kukwa
Korekta: Hanna Kukwa
Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl
Projekt okładki: Joanna Chlebowska
Zdjęcie autorki: Łukasz Giza

ISBN 978-83-62948-11-6

www.jirafaroja.pl

Wydanie I
Warszawa 2012


jirafa roja

Spis treści

ROZDZIAŁ 1	
POCZĄTEK	9
ROZDZIAŁ 2	
PUSTE BUTELKI	22
ROZDZIAŁ 3	
ROSYJSKI SEN	36
ROZDZIAŁ 4	
WSIECOWSTĄPIENIE	47
ROZDZIAŁ 5	
ŻADNEGO ŚLUBU PRZED SEKSEM.	61
ROZDZIAŁ 6	
SNY O WIELKOŚCI	79
ROZDZIAŁ 7	
TRZYDZIEŚCI JEDEN DNI	97
ROZDZIAŁ 8	
DOBROWOLNE ZNIEWOLENIE	109
ROZDZIAŁ 9	
NO FUTURE	130
ROZDZIAŁ 10	
CYCKI KONTRA PIWO	141
ROZDZIAŁ 11	
NIE MA UCIECZKI.	154
ROZDZIAŁ 12	
ZABÓJCZA DOMÓWKA.	175
ROZDZIAŁ 13	
OCZYSZCZENI	190
ROZDZIAŁ 14	
ŚPIJ SPOKOJNIE	200
ROZDZIAŁ 15	
POWRÓT DO DOMU	214

*Dla Łukasza
Bez Ciebie nie ma mnie*

POCZĄTEK

DAWID

Wyprowadzali nas kolejno. Schodziłem posłusznie po schodach. Miałem skute ręce, ale na karku i tak czułem silny uścisk policjanta. Trzymał mnie tak, jakbym próbował mu uciec. Ale dokąd? I po co?

Wciąż miałem kaca, a koszulę mokrą od krwi.

Na komisariacie gliniarze rzucili się na mnie jak wygłodniałe hieny. Grozili, krzyczeli, wyzywali, a potem zniechęceni stawali się przyjaźni. Częstowali papierosami, obiecywali, że niedługo mnie wypuszczą, już, za chwilę, kiedy tylko złożę zeznania.

Poprosiłem, żeby pozwolili mi zadzwonić do adwokata. Zaśmiali się, jakby usłyszeli dobry kawał.

W końcu musiałem się odezwać. Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, będą mnie tu trzymać całą noc.

Powiedziałem im, że jestem niewinny. Że to był zwykły przypadek.

Sam w to nie wierzyłem.

Oni zresztą też.

— Posiedzimy tutaj i poczekamy, aż sobie przypomnisz, co się stało. Twoi koledzy już mówią.

Na chwilę zamiera mi serce. Co oni mówią?! Przecież chyba nie...

— Pójdiesz siedzieć. Zdajesz sobie z tego sprawę? Twoi znajomi wyjdą, bo mówią, a ty pójdiesz siedzieć, bo ich kryjesz.

W końcu zacząłem mówić, a moje ręce trzęsły się tak samo jak głos. Po półgodzinie w końcu pozwolili mi wyjść. Wcale nie poznali prawdy. Jeśli zna się tylko okrojona wersję wydarzeń, nigdy nie można złożyć układanki w całość. Nie da się zbudować historii bez początku i końca.

A więc — od czego się zaczęło?

Wszystkie wspomnienia mieszają się, urywają, nakładają, ale wszystko zaczęło się na pewno w lepkiem od potu i alkoholu lecie roku 2009, roku, w którym zdałem maturę i dostałem się na studia. Najdłuższe wakacje życia.

Słońce świeciło tak mocno, że aż oślepiało. Piłem piwo, paliłem trawkę, śmiałem się głośno, pieprzyłem się często i zachłystywałem się wolnością, której odmawiano mi przez lata.

Zastanawialiście się kiedyś, ile sekund zajmuje otwarcie butelki piwa? Otwarcie indeksu? Ile czasu może zająć określenie wyboru kierunku, pijany gest przekręcenia kluczyków, ile czasu może zająć podjęcie decyzji, która jest w stanie otworzyć przed tobą przyszłość albo ją zrujnować?

Jak będzie wyglądać zderzenie dzieciństwa z dorosłością?... BUM!!!!

BUM. Coś uderzyło w okno. Otworzyłem oczy i zamrugałem.

Szalone lato dobiegało końca. Był ostatni tydzień sierpnia, rok 2010. Podniosłem się z łóżka ostrożnie, tak, żeby nie obudzić Kai.

Obudzenie jej o tej porze groziło śmiercią, a nie chciałem, żeby zaczęła się na mnie wściekać, kiedy będę w zasięgu jej ciosów.

Sprężyna materaca ugięła się i zaskrzypiała lekko.

Sztuka zostawiania śpiących dziewczyn w łóżkach i ulatniania się to ważna i subtelna umiejętność. Wymaga techniki. Ja opanowałem ją do perfekcji. Wymijając puste butelki i przeklinając wczorajszą imprezę, podszedłem do okna. Zobaczyłem samochód zaparkowany pod samą chatą. Magik i Biały machali do mnie jak opętani.

— Wyłaź! — krzyknęli.

— Cicho, Kaja śpi! Zaraz schodzę.

Wróciłem do pokoju i wyciągnąłem spod łóżka plecak. Wszystko było spakowane i przygotowane do wyjazdu. Laptop, ipod, niezliczone notesy, dyktafon, mapka, dowód osobisty, portfel, komórka i trochę dobrego, poznańskiego zioła. Kiedy wynurzyłem się spod łóżka, Kaja miała otwarte oczy i patrzyła na mnie roziskrzonym wzrokiem.

— Metoda subtelnej ucieczki? Nie nauczyłeś się, że to w moim przypadku nie działa?

Cholera.

— Nie chciałem cię budzić.

— Dokąd się wybierasz? Myślałam, że będzie powtórka z wczorajszego wieczoru.

— Nie da rady, mała.

— A dlaczego?

Wzięłem głęboki oddech. Zaraz się zacznie.

— Bo wyjeżdżam. Jadę na studia do Wrocławia.

— Przecież dostałeś się na dziennikarstwo w Poznaniu. Mówiłeś, że zostajesz!

— No, tak. Zmieniłem zdanie.

— Co? — zapytała Kaja, podnosząc się. — Co?!

Jej zielone oczy zamieniły się w szparki. Wyglądała jak pantera gotująca się do skoku.

— Chciałem ci wczoraj powiedzieć — powiedziałem, podnosząc się i chwytając plecak. — Nie moja wina, że tyle wypiliśmy, że nie mogłaś oderwać ode mnie rąk...

— MAGIK, ODPALAJ AUTOOOOOO!!! — wypadłem z domu i popędziłem żwirową ścieżką. Za mną wybiegła Kaja, rzucając we mnie co cięższymi przedmiotami użytku domowego.

— TY SKURWIELU! JUŻ PO TOBIE!

Magik zauważył, że nie ma żartów. Odpalił silnik i ruszył. W ostatnim momencie udało mi się wskoczyć do samochodu i zatrzaskać drzwi. Chwilę później rozległ się huk. Butelka po Tyskim rąbnęła w tylną szybę samochodu.

Szyba przetrwała. Butelka nie.

Odróciłem się i zobaczyłem oddalającą się sylwetkę Kai.

Potem już nie oglądałem się za siebie. Zaczynałem nowe życie.

Kumple podwieźli mnie pod dworzec. Na zakończenie podałem im rękę. Obiecałem im trzymać kontakt — w końcu sporo razem przeżyliśmy — ale wcale nie byłem pewien, że dotrzymam słowa. Nie przywiązywałem się specjalnie do miejsc ani do ludzi. Niezależność zapewniała mi prawdziwą wolność.

Po kilku godzinach pociąg zatrzymał się na stacji Wrocław Główny. W tym czasie miasto szykowało się na Euro 2012 i remontowano dworzec. Nie widziałem na razie efektów, poza cholernym chaosem panującym na stacji.

Wędrowałem ulicami nowego miasta. Chciałem sprawdzić ilość knajp, barów i miejsc do wylegiwania się w sobotnie popołudnia, poznać trasy lokalnej straży miejskiej, przyjrzeć się wrocławiankom, poznać język miasta.

Była niedziela, dzień przed rozpoczęciem roku akademickiego. Rynek był wypełniony ludźmi. Turyści fotografowali się pod pomnikiem Fredry, zakochane pary całowały się pod Mcdonaldem, uliczni artyści grali na gitarach kawałki Dżemu i zbierali pieniądze do futerałów. Mim, z twarzą pomalowaną złotą farbą, trwał w niewzruszonym bezruchu, nie reagując na zaczepki dzieci.

Później odnalazłem Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Miejsce, w którym miałem spędzić najbliższe pięć lat życia.

Dziennikarstwo od zawsze było moją pasją i powołaniem. Uwielbiałem pisanie, podsłuchiwanie, rozmowy z ludźmi i zbieranie informacji. Byłem redaktorem we wszystkich gazetkach szkolnych, od podstawówki aż do liceum. Nauczyciele zawsze mówili, że dziennikarstwo jest najlepsze dla osoby o tak niezaspokojonej ciekawości świata.

No i potrafiłem mówić. Bylibyście zaskoczeni z ilu sytuacji można się wykręcić gadaniem. Pomagało mi w konfrontacjach z rodzicami, nauczycielami, policjantami, kanarami, a zwłaszcza z dziewczynami.

Kiedy miałem piętnaście lat, dużo podróżowałem na stopa z kumplami. Byliśmy takimi młodymi, bezczelnymi, długowłosymi utrapieniami społeczeństwa. Nocowaliśmy u przypadkowych dziewczyn, w samochodach albo pod gołym niebem. W liceum trochę punkowaliśmy, łaziliśmy po opuszczonych miejscach, koncertach i piliśmy tanie wino. Później był etap rasta. Bębny, nocne ogniska, pokój na świecie, trawka i transcendencja. Jak już mi przeszedł młodzieńczy bunt, zacząłem podróżować po Europie. Musiałem ciągle doświadczać, ryzykować, poznawać, odkrywać. Żadnej stagnacji. Bezruch to śmierć.

W maturalnej klasie zacząłem chodzić na fakultet z dziennikarstwa, tam właśnie poznałem Kaję. Od razu zwróciłem na nią uwagę. Była śliczną szatynką o promienistych, zdeterminowanych oczach. Oprócz tego pociągała mnie jej inteligencja, błyskotliwość i cięty język. Była socjaldemokratką i wielką fanką Moniki Olejnik. Rywalizowaliśmy ze sobą ostro, zajęcia z dziennikarstwa zamieniły się w pole walki. Walczyliśmy o to, czyj tekst okaże się lepszy, kłóciliśmy się o etykę dziennikarską, o politykę. Napięcie wisiało w powietrzu. Któregoś dnia po zajęciach podszedłem do niej i powiedziałem:

„Chcę się z tobą przespać. Możesz powiedzieć ‘tak’ teraz albo później, ale będę w pobliżu, dopóki nie dostanę odpowiedzi, którą chcę usłyszeć”.

Żałujcie, że nie widzieliście jej miny.

Opierała się długo, nawet bardzo długo, ale ostatecznie skończyliśmy razem. Ale ja i Kaja to już inna historia.

Po maturach zdałem sobie sprawę, że czas opuścić rodzinne gniazdko. Miałem dosyć Poznania i mieszkania ze starymi. Ciągnęło mnie do czegoś innego.

Wrocław był znany jako miasto studenckie i tak zwane „meeting place”. Na wydział dziennikarski było mnóstwo kandydatów, ale z dostaniem się nie miałem żadnych problemów. Gorzej było z miejscem w akademiku.

Wszystkie domy studenckie były przepełnione, dlatego miasto zdecydowało się na wybudowanie hotelu, w którym mogli zamieszkać studenci z różnych kierunków, dla których zabrakło miejsca w akademikach. Miesięczne opłaty były dość wysokie, ale miejsc było pod dostatkiem a warunki były o wiele lepsze niż w zwykłym akademiku. Większe i bardziej wygodne pokoje z łazienkami, brak ingerencji portierów w życie mieszkańców. Zero rewizji i kontroli. I tak nie miałem za-

miaru wynajmować mieszkania od jakiegoś apodyktycznego właściciela, więc decyzja nie zajęła mi wiele czasu.

Hotel był dużym, ciemnym, kilkupiętrowym budynkiem otoczonym drzewami i trawnikiem, na którym w gasnącym słońcu wygrzewała się kolorowa reprezentacja mieszkańców. Popchnąłem ciężkie drzwi i wszedłem do środka. Poczulem przyjemny chód. W holu kilka osób grało w piłkarzyki. Na recepcji wylegitymowałem się i odebrałem klucz. Pokój o numerze 316 miałem dzielić z trzema współlokatorami.

Zacząłem wspinać się po schodach, mijając kolejne drzwi. Nie było wykładziny, podłoga była gładka i lśniąca. Ściany korytarza pomalowano na czerwono.

— Jak w „Lśnieniu” — pomyślałem z rozbawieniem.

Na drugim piętrze trafiłem na niezidentyfikowane ciało. Nie powiem, poczułem się trochę nieswojo. Dziewczyna wyglądała, jakby była martwa. Wrażenie potęgowała migająca, zepsuta świetlówka.

Miała długie, jaskraworóżowe włosy, była ubrana w dzinisy z mnóstwem kolorowych łat i żółtą koszulkę z napisem „Don't worry, be happy”.

Zbliżyłem się z lekką obawą. Może nie żyje? Może wszyscy o niej zapomnieli i zaczęła tu gnić? Ale wtedy poruszyła się i zauważyłem tekturkę opartą o jej bok „PROSZE, NIE DEPCZ JEJ. PO PROSTU PRZESKOCZ”. Pochyliłem się i lekko potrząsałem jej ramieniem.

— Hej... nic ci nie jest?

Zero reakcji.

— Cześć — usłyszałem głos nad głową. Ktoś podniósł bezwładne ciało z ziemi. Wstałem. Przede mną stał ciemnowłosy, wysoki gość w koszulce Pidżamy Porno. Uśmiechał się przyjaźnie. — Jestem Dominik.

— Dawid — podałem mu rękę — to... — wskazałem na ciało i zawahałem się.

— Moja dziewczyna, Endi — przedstawił zwłoki.

— Zawsze śpi na korytarzu?

— Nie, trochę za dużo wypila. Śliczna jest, prawda?

Przytaknąłem. W jego głosie zabrzmiało ciepło, z jakim nie potrafiłem mówić o żadnej dziewczynie. Z racji, że wyglądam nieźle, a z bajerą nigdy nie miałem problemów, to laski zawsze do mnie ciągnęły. Niektóre nawet się zakochiwały, co zawsze traktowałem jako sygnał do odwrotu. Po co miałem im robić fałszywe nadzieje? Chciałem przeżyć jak najwięcej, a to nie jest możliwe z kimś uwieszonym twojego ramienia.

— Nowy? — zapytał Dominik. — Który rok?

— Pierwszy.

— My też. Na czym jesteś?

— Na dziennikarstwie.

— Ja na medycynie, a Endi na prywatnej fotografii. Spodoba ci się tu. Jak będziesz miał jakieś pytania, to wał, mieszkamy w 211.

I razem z dziewczyną zniknął w pokoju. Wspiąłem się na trzecie piętro i odnalazłem mój pokój. Ktoś przekreślił liczby 316 i dopisał — 666. No nieźle. Ciekawe jakie świry mieszkają w środku. Otworzyłem drzwi.

— I wtedy zrozumiał, że nie chodzi o to, kim jest, ale o to, kim oni pozwolą mu być! — powiedział ktoś teatralnym tonem. Naprzeciwko mnie, przy stole zawalonym jakimiś papierami, siedział dziwny typ. Miał kilkudniowy zarost, czarne włosy i podkrążone oczy ćpuna. Był ubrany w czarny golf i džinsy.

Wskazał na mnie palcem.

— „Z prochu powstałeś, więc wstań i się otrzep” — powiedział, cytując Rafała Wojaczka, po czym pochylił się, wciągnął z otwartej książki ścieżkę amfy i zwałił się na ziemię.

— Yyy... też mi miło cię poznać. Jestem Dawid.

— Konrad — wyciągnął do mnie rękę z ziemi.

Nie miałem czasu, żeby się otrząsnąć, bo na scenie pojawił się nowy zawodnik. Wesoły rastaman z dreadami do pasa, ubrany w koszulkę z Bobem Marleyem. Trzymał na ramieniu jakiegoś jaszczura.

— O! Cześć — przywitał się. — Jestem Szymon, a to mój gekon, Marley. Wiedziałaś, że gekony to jedne z jedynych gadów z ruchomymi powiekami?

Zamrugałem, co w ogólnościowym przekazie oznacza „Co, kurwa?”.

— Nie przejmuj się nim — wskazał na leżącego na ziemi — Konrad jest nihilistą.

— To zaraźliwe?

— Są na to szczepionki — powiedział, uśmiechając się i zapalając blanta. — Jestem na weterynarii. Hoduję różne zwierzaki, mamy w pokoju węża i ptasznika. Ma na imię Basia.

Wskazał na jakiegoś koszmarnego, włochatego pajęczaka przyssanego do szyby.

— Bardzo ładnie go nazwałeś.

— Tu śpisz — pokazał mi łóżko pod oknem. — Nasz ostatni współlokator emigrował do Anglii. Albo poszedł siedzieć. Nie jestem pewien. Aha i mamy jeszcze jednego mieszkańca, Matiego. Przyjedzie za parę dni. To co, piwko?

— Jasne.

Wyrząłem przez okno. Zapowiadała się niezła jazda.

BLANKA

Taksówkarz już od pięciu minut usiłował zaparkować na przepełnionym samochodami parkingu. Jego ciągłe cofanie samochodu i nerwowe zmienianie stacji w radiu wywoływały u mnie migrenę.